

## Brief Resume (ENG)

(Mr) Łukasz Greczner  
British NI Number/UTR No./Self-employed  
Polish/EU/UK employment/contract considered  
Cellular: +447512016822  
Email: [lukaszgreczner@gmail.com](mailto:lukaszgreczner@gmail.com)



**Languages:** English (C1); Polish (native); Slovak, Czech, Russian (working knowledge); Japanese (basic).

**Education:** (England) **(1)** (QCF) Certificate Level 4 in Public Relations (*Media, Public Affairs & Crisis Management*), **(2)** (QCF) Certificate Level 4 in People Management (*Organisational Behaviour*) **Art Education** (England) (HNC) Illustration in Advertisement.

**Creative/IT: Standard media** – watercolors, gouache, acrylics. **Digital** – graphic design, illustration, visual communication, 3d; wacom tablets and alternatives. *Software:* raster, vector, 3d. **Film** – short movies, indie; screenplays. Multiple awards (i.e. “*Idiots*” International Grand Prix “Up to 21” Warsaw 1999). **Music** – guitar-based + DigiTech Trio+, **Copywriting** – creative writing, content dev, poetry and prose, novels. Awards (Polish). **SEO** – off/on-page, algorithms Panda, Penguin + Hummingbird, Mobilegeddon etc. **UX/UI** Foundations of *Human Interface Guidelines*, *Human Computer Interaction*. **IT** – CMS; Front-end web dev: HTML5, CSS3, JQuery (JS), Bootstrap (CSS) → foundations. Komodo; Linux OS. **Commission fine art painter.**

### Portfolio:

<https://www.twine.fm/LuakaDupinion>

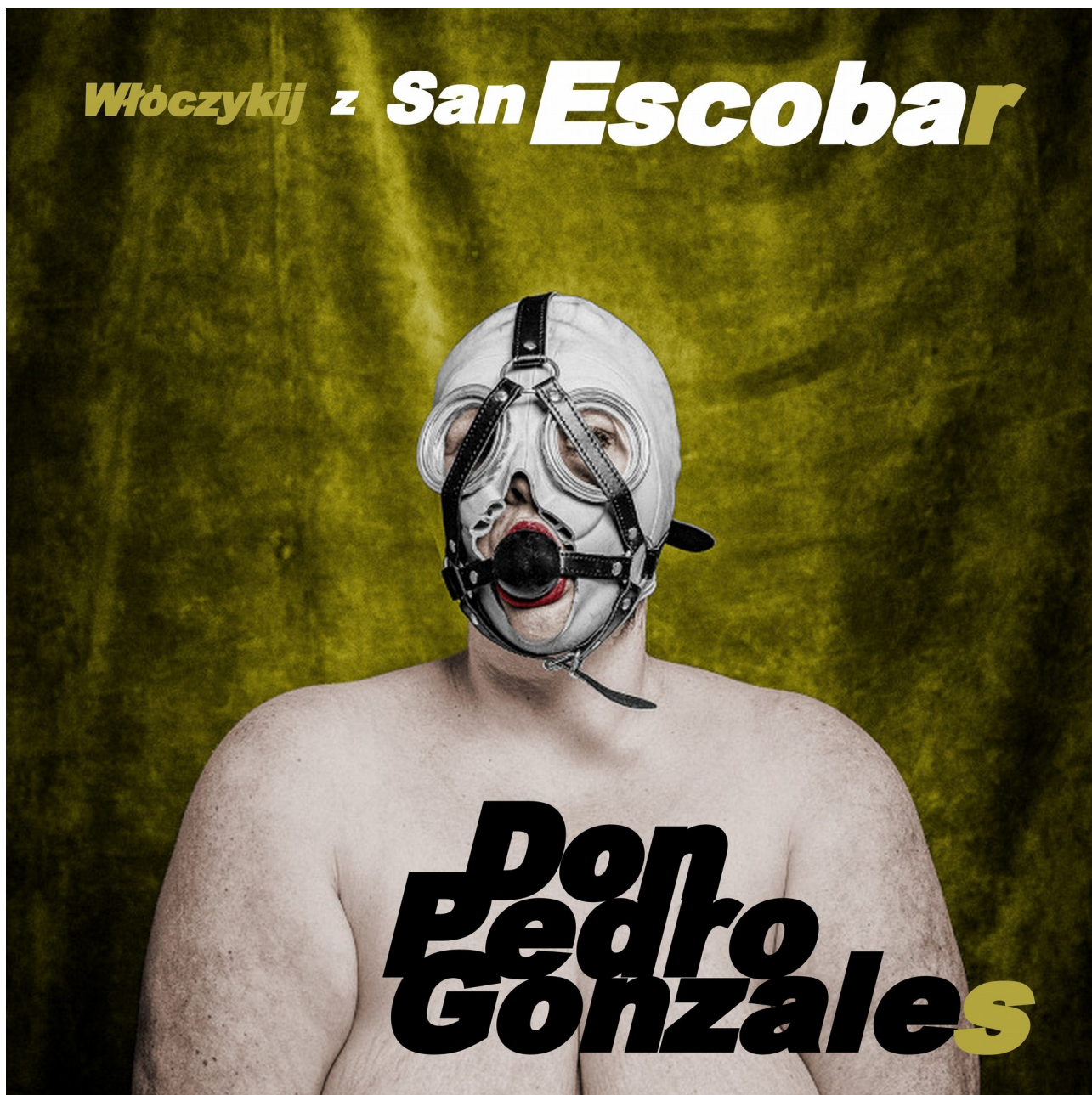
[https://www.behance.net/lu\\_aka\\_dupinion](https://www.behance.net/lu_aka_dupinion)

**Experience:** overall creative | digital 5 years+ . Any additional files available upon request.



Dzięki / Thanks  
Łukasz / Luke

# **Włóczykij z San Escobar**



autor: Łukasz Greczner

“Don Pedro Gonzales – Włóczykij z San Escobar”

## **ROZDZIAŁ XVI “Ballada o człowieku co jadł kozy z nosa”**

(...)

Na łóżku leżał on. Bott. Na widok swego pana wrzasnął, mlasnął, trzasnął, pierdnął i zatykając środkową dziurkę w nosie chochlą po bigosie, z wolna rozplynał się w powietrzu. Genadij rozejrzał się po pokoju, lampka nocna niemrawo, choć żwawo, rzucała wątłą smugę wątłego światła na dosyć ograniczony – tu bądźmy szczerzy - świat Gienadija. Ba, w świecie tym istniał jeszcze kot. Zwinnym kopniakiem w gruby, inaczej dość chudego kota zad, posłał go na pół metra wysoko w powietrze. Ugładził ręką pościel, przygładził ręką koc i usiadł na łóżka brzegu. Pomieszał jajko dzbankiem, owinał się firankiem, przeglądnięt Burdy trzy numery, choć właściwie były cztery. Czubek herbaty dał na skos, przekreślił gałką nos i cisza.

Kot leżał nieruchomo. Historia Gena lubiała się powtarzać. Choć nie często. Sam mawiał, że właściwie rzadko. A w dokumentacji jasno stało, że właściwie wcale. Trzynaście lat w Filharmonii

Narodowej. Grał na wszystkim. Klawesynie, trąbce, skrzypcach, skrzypcach, trąbce, klawesynie, trąbce, skrzypcach, trąbce, klawesynie i raz na kontrabasie. W klasie. Został raz. Trzy razy, nie dlatego, że był nieuk, ale dlatego, że chciał dokończyć wypracowanie. Pisał dzień i noc. Trzy lata. Trzynaście tomów encyklopedii Britannica zapisał jakością kaligraficzną - wałkiem do malowania ścian - na metce od skarpetki. Jak skończył szkoły już nie było. Uległa samobiodegradacji. Siłą rzeczy nie został w niej na rok czwarty. W domu Gienadija wszyscy byli uzdolnieni. Muzycznie, a sam Gienadij miał słuch absolutny – absolutnie nic nie słyszał. Wszystko grał z pamięci, w dodatku nie swojej. Czasami odkręcał ręce dziadka i sumiennie sprawdzał jak każda z nich działa. Dziadek miał rąk siedem z czego co druga była nogą, a każda jedna razem i każda druga z osobna była mniej więcej zrobiona o tak, choć bardziej na wspak.

Był już późny wieczór, a za oknem pruszył lekko śnieg. Gienadij często rozmawiał ze śniegiem, szczególnie, gdy seksu nie chciał uprawiać z nim kot. W domu było ciepło, wstał i odsłonił żaluzje. Poszło mu to nawet zgrabnie, gdyż w oknach żaluzji żadnych nie miał. Na spowitym mrozem drzewie, jedząc rurkę z kremem siedział koń. - Ciąg się grubasie szmaciarzu ty! - krzyknął koń parszcząc z dezaprobatą w miarę niezbyt, ale nie aż tak, by nie. Kot jakby odzyskał przytomność i jakby jednym okiem mrugnął na drugie. Drugie odpowiedziało brakiem mrugnięcia. Ogon kota jak zwykle w takich sytuacjach miał w zwyczaju – wstał, chwycił toporek, odrąbał się od zadu kota i uciekł pod łóżko. Smyk i nie ma gnoja. To co działo się pod łóżkiem to już w ogóle inna historia. Dawał tam przedstawienie Sforc. Przedstawiciel. Zatrudniony umową o dzieło choć działający bez umowy Sforc, sto dwanaście lat temu pracował z babką Gienadija – zwaną dalej dla przejrzystości i ułatwienia - babką Gienadija. W jednej filharmonii i pół. A nawet i trzy czwarte. Gdy stawał na warcie, zaznaczał coś w karcie, idąc po linii od liny do linka z Bilobą od Ginka. Tak było. Tak więc babka, operowa diva, nie śpiewała długo, a właściwie wcale, gdyż pękła jej tenorowa struna głosowa zaraz przy strojeniu. - Ty bucu ty! - dobywał się wciąż głos z podwórza. Tembr jego jakby koński. Było już naprawdę późno. Było już naprawdę ciemno. Było jak zawsze.

\* \* \*

Gdy jednego, pięknego, lipcowego popołudnia, Sażi pracował w laboratorium nad kulkami mocy z uranu dla lokalnego klauna, znanego z tego, że jeszcze z niczego nie był znany, zobaczył wtedy coś co pamiętałby pewnie do dziś, gdyby dzisiaj jeszcze żył. Grupka młodych żydowskich uczniów wracała z zajęć w szkole w Betlejem. Dryg był wojskowy. Podskakiwali równomiernie i wysoko, pejasy falowały w powietrzu, z ziemi unosił się piach i kurz. - Kto nie skacze, kto nie skacze?! Ten! Jest! Żyd! - niosło się po okolicy. Gdyby w okolicy były drzewa, łamałyby się jak zapalki z kart, jak bigos i ty, jak co i pstro, jak no achże, no achże choć właściwie to zdanie jest teraz mało ważne. Drzewo było tylko jedno, za górą, ale mieszkał na nim koń, choć tę historię już po części znacie. W tym wszystkim nie byłoby wcale nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Betlejem było kilkanaście tysięcy kilometrów stąd, na dodatek był lipiec, więc były i wakacje, a na dodatek Sażi, nie mógł niczego słyszeć, bo był głuchy. Dzieci płały i skakały, za każdym razem gdy wzbijały się w powietrze zapadała noc, a one lewitując w gwiazdach łapały co po jedną i spadając w dół chowały je w tornistry. - Kto nie skacze, kto nie skacze!? Ten jest żyd! Kto nie skacze, kto nie skacze!? Ten jest żyd! - Sażi dałby sobie uszy uciąć, że to działo się naprawdę. Opowiedział mu to Brutt. Kolega jego kolegi. Za każdym razem gdy po dziarskim wysoku dzieci opadały na ziemię wstawał nowy dzień. Taka też pora była za wielką górą...

Za górą była noc. /.../